

**Stefan Žeromski**



**JOSEPH CONRAD  
AUTOR RODAK**

**Stefan Żeromski**

**Joseph Conrad - autor rodak**



**Fundacja Festina Lente**

## I

Jeden z najbardziej fenomenalnych twórców w dziedzinie literatury — Joseph Conrad-Korzeniowski — zstąpił do grobu. Jego życie i jego dzieło pisarskie świadczą o potędze woli, prawdziwie bezprzykładnej. Jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z ziemi rodzinnej, z miasta najgłębiej zatopionego w przeszłości, w rutynie, w trwodze myśli publicznej — rzucił się na obce statki i puścił się sam w obce morza, został marynarzem, majtkiem, oficerem, wreszcie dowódcą okrętu. Jako człowiek dojrzały postanowił tworzyć w mowie obcej mu za dni młodości i dzieciństwa, przybranej dopiero w latach męskich — i został pierwszorzędnym prozaikiem, stylistą, mistrzem, dyktatorem wysłownienia w tej mowie, tak niezrównanie wyrobionej w ciągu długiego szeregu stuleci. Można go bez przesady nazwać zdobywcą, konkwistadorem, nieulekłym przywłaszczycielem dóbr duchowych, które osiąść zapragnął, ażeby je rozmnożyć i nowe z nich stworzyć wartości. W długim szeregu znakomitych prac opowiadał ludziom osiadłym świata o tym, dlaczego uciekł z ojczyzny, o tym, co przeżył wśród fal nieobeszłych oceanów i co widział na wybrzeżach dalekich, *'twixt land and sea*. Są to nowożytny sagi świadka, który oglądał za swych szalonych młodych lat glob ziemski z wielu jego stron, rozmaicie oświetlony przez słońce i księżyc; który przemierzał kolisko poprzez upały zwrotnika i przy oziębłym świetle północy; który

w ciągu kilkudziesięciu lat przerzynał się poprzez najdziksze szaleństwa przyrody i przypatrywał się wszelakiej dzikości, łotrystwu i niedoli człowieka. Morze było marzeniem jego dzieciństwa i morze było treścią najistotniejszą jego epopei. W odtworzeniu za pomocą słowa wspaniałości i straszliwości oceanu jest mistrzem niedościgłym. We wszystkich najznakomitszych jego utworach morze jest sceną, na której przesuwają się tragiczne, śmieszne lub nieszczęśliwe cienie aktorów. Najświetniejsza zaś w prostocie swej, w treściwości i jasności książka — *Zwierciadło morza* — wyraża to najprawdziwsze, najistotniejsze, co człowiek, rzucony na morskie odmęty, przeżywa, czuje i myśli. Mówią, iż ten cudzoziemiec pierwszy powiedział Anglikom — żeglarzom od stuleci — czym jest morze. Czy tak jest, trudno sądzić. Na pewno jednak opowiedział im legendy, których nie znali, wyraził najtajniejsze uczucia, sekrety serca, zrośniętego z pławaczką morską — okrętem. Któż nie pamięta opowieści o statku, który ma w sobie dziką, wściekłą, w morzach wykołysaną duszę, który się rzuca na bariery portów i druzgoce je w szczapy, który ma w sobie skoki i rzuty szalonego pirata, a zrzuca z siebie otrząsem niepojętym wstrętnych dłań ludzi?...

Joseph Conrad był miłośnikiem i bardem okrętu. Statek jest dlań istotą żyjącą, drogą, czcigodną, jest to jego dom rodzinny i wędrujący ułamek lądu — tego wszystkiego, co zostało i czeka; jest to pan i przyjaciel, dobroczyńca i obrońca. Stary marynarz, który po latach przymusowego na lądzie pobytu, na widok portu, zapełnionego kominami i masztami, wydaje jeden tylko okrzyk — w nim zawiera całe życie swoje: „Okręty!”

Spółeczeństwo żeglarzy, rozproszone na wszystkich wodach globu ziemskiego, było właściwie ojczyzną Josepha Conrada. W długich podróżach do celów nieskończenie dalekich pilny i

ciekawym obserwatorem, miłośnikiem morza i wszelkich spraw jego, nauczył się, zgłębił, pojął duszę marynarzy i zapamiętał wszystko, cokolwiek mówili i czynili. Stąd wynikła niezrównana galeria portretów, malowanych, zapewne, z żywego modelu.

Kapitan MacWhirr, prowadzący parowiec Nan-Shan w powieści pt. *Typhoon*; kapitan statku, który ratuje rozbitą szkutę Lorda Jima, opój i zawalidroga z pozoru, a bohater najwyższej miary w istocie rzeczy; galeria marynarzy ze statku Narcissus, ze statku Patna, Tremolino i innych — to ta rodzina, to naród poety. Pamięta on ich wszystkich, szanuje każdą ich cechę, lubi ich przywary, manie, nałogi, tęsknoty i furie wewnętrzne, kocha ich życie, ich dnie i noce. Kocha każdego marynarza i wszystkich razem, gdziekolwiek wędrują.

Kiedy w r. 1914, na samym początku wojny, miałem zaszczyt poznać Józefa Konrada Korzeniowskiego i pozyskać jego przychyłność, po długiej pewnego razu rozmowie, gdy ta przychyłność, jak sądzę, dosięgła najwyższej granicy, czegoś jeszcze brakowało. Wówczas znakomity pisarz nachylił się ku mnie, mrugnął porozumiewawczo okiem, uderzył mię po kolanie i szepnął mi do ucha: „Ejże! Pan musiał przecież być marynarzem!...”

Niestety, tej zalety nie posiadałem, wskutek czego i inne zblednąć musiały. Utwory, że tak powiem, lądowe, jak *Secret Agent* [*Tajny agent*], *Romance* [*Przygoda*], poniekąd *Nostromo* (przepyszna opowieść o kopalniach srebra w Ameryce Południowej), nie mają cechy portretowości, o której wyżej była mowa. Są to utwory pisane jak gdyby pod pewnymi wpływami, przypominające doskonalsze arcydzieła, znane już skądinąd. W tych to utworach Joseph Conrad najmniej jest sobą, najmniej w nich widać szczerzej i dostojnej pracy marynarza, ażeby ujrzyć życie ze strony poezji.

Najpiękniejszy i najdziwniejszy, jak sędzę, pozostaje zawsze utwór pt. *Lord Jim*. Mamy tu wskazany rozwój i postęp procesu sumienia w katowni wewnętrznej ducha, pędzący człowieka z miejsca na miejsce, z morza do morza, z zatoki do zatoki, z przesmyków na wyspy skaliste pośród oceanu, zawsze z tą samą na czole troską i z tą samą wewnątrz męczarnią. Dzieło olbrzymie!

Jeden z najprzenikliwszych i najsubtelniejszych naszych estetów, Wilam Horzyca, w pewnej rozmowie o twórczości Josepha Conrada, zwrócił mi kiedyś uwagę na tajemnicę *Lorda Jima*, rzucając pytanie, czy utwór ten nie jest przypadkiem symboliczną spowiedzią? Czy pod formą, pod osłoną przypowieści o młodzieńcu nieszczęśliwym w stronach dalekich, borykającym się ze swym sumieniem, nie mamy tutaj wyznania o dziejach i przeżyciach duchowych innej zgoła natury? Czy nie jest to wymyślna historia innego niż opisany, wewnętrznego procesu: zapomnienia, pogardzenia, odtrącenia innych zupełnie obowiązków? Dziś, gdy to życie zdobywcze, bogate, świetne jest już zamknięte, gdy nic już w dokonanej pracy pisarza odmienić się nie da, jest może pora do zapoznania się choćby w szkicu pobieżnym z cieniem tego życia — z jego polskim początkiem. Sądzę, iż uchylenie tego cienia pod światło, ukazanie jego nadzwyczajnej wzniosłości, dostojności i piękna, niejedno wytłumaczy. W każdym razie — może udzielić niejakiej odpowiedzi na pytanie Wilama Horzycy.

Życie Josepha Conrada, żeglarza, oficera angielskiej marynarki handlowej, nowelisty i publicysty, chciwie czytanego na obydwu anglosaskich półkulach, jest na ogół znane; może podlegać ciągłemu badaniu i będzie zapewne opisywane wielokrotnie. Odkryte będą niewątpliwie wszelkie źródła jego twórczości i wpływy, którym ulegał. Lecz polski jego początek

osłonięty będzie dla Zachodu tajemnicą, gdyż sam Joseph Conrad rzucił nań cień zapomnienia, czasem tylko w kilku artykułach publicystycznej natury zwracając łaskawe oczy w tamtą stronę globu. Tymczasem sami krytycy angielscy wskazują na ową ciemną, nieznaną, świadomie ukrywaną słowiańskość duszy pisarza, na wpływ mowy macierzystej, która wywarła impuls szczególnie a decydujący na dobór wyrazów, rytm, obrazowość, na siłę, na znamienne podniosłą odmienność i pełnię prozy angielskiej Conrada. Krytyk Richard Curle, autor wielkiego studium o tym pisarzu, przypisujący drugiemu okresowi jego twórczości znaczenie tak dalece decydujące, iż przyrównywa je ze znaczeniem pracy mistrza mistrzów, Gustawa Flauberta, dla prozy francuskiej, pisze: „Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie usiłowań angielskich, to jest w ogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy”.

Mamy jeden tylko środek zmierzenia wpływu Polski na duszę twórcy angielskiego: zapoznanie się z jego światem rodzinnym, który chłopcu siedemnastoletniemu musiał być przecie znany dokładnie. Siła przeżyć rodzinnych, głęboko tragicznych, może będzie miarą tego impulsu do szukania czegoś innego, który młodzieńca z kraju wyrzucił na zawsze. Nie on przecie jeden wyrywał się z tamtoczesnej katowni. Poeta styczniowego powstania, jego wieszcz silny i gorący — Mieczysław Romanowski — wołał w rozpaczy:

*Orły, sokoły, dajcie mi skrzydła!  
Gruz i popioły, — ziemia mi zbrzydła,  
Ja bym chciał w górze pohulać z wami  
I tam na chmurze żyć piorunami...*

.....

*A tu żałobą pokryte doły...  
Dajcie mi skrzydła, orły, sokoły!*

Cóż dopiero mówić o tym chłopcu, otoczonym wokół grobami!

Oprócz wzmianek autobiograficznych, zamieszczonych przez Józefa Conrada w artykułach publicystycznych *Poland Revisited*, *First News (Notes on Life and Letters)*, w *The Mirror of the Sea*, *Personal Record* i innych; oprócz listów do rodziny i przyjaciół, pisanych przez jego rodziców, a znajdujących się już to w Bibliotece Jagiellońskiej, już w zbiorach aktów tajnych, niedawno przez Rosję wydanych i złożonych obecnie w Cytadeli; najobfitszym źródłem do dziejów rodu Korzeniowskich i młodocianego Teodora Józefa Konrada Korzeniowskiego są *Pamiętniki* brata jego matki, Tadeusza Bobrowskiego, wydane we Lwowie w r. 1900. W t. I tych pamiętników na str. 363 znajduje się przede wszystkim wiadomość o samym rodzie, o dziadach angielskiego pisarza: „Rodzice (Apolla Nałęcz) Korzeniowskiego byli bardzo poczciwi szanowani w okolicy ludzie. Matka, Dyakiewiczówna z domu, poczciwa, przez męża zahukana żona, kochająca matka, ale nic nie znacząca istota, ojciec, Teodor, porucznik z 1807, kapitan z 1831 r., bił się dobrze, ale ciasnej głowy szlachcic i przekonany, że był pierwszym wojownikiem w Europie, pierwszym gospodarzem i najzasłużeńszym mężem w kraju... Ma się rozumieć, że wielkim był przy tym politykiem i jedynym patriotą, bo zawsze, nie radząc się głowy, gotów był sięść na koń i wypędzić wroga z kraju... Zazwyczaj... a szczególnie w uniesieniu, do czego był skłonny, [synów], ludzi dojrzałych traktował jak małych chłopców i łajał od głupców i gorzej, co oni z największą pokorą, całując ojca w rękę, znosili. Z trzech synów, którzy rzeczywiście wszyscy byli zdolni, najstarszy Robert... zginął w 1863 r. wcale już niemłodym człowiekiem.



Najmłodszy, Hilary, był takim samym, jak ojciec, utopistą, a niemniej złośliwym od brata Apolla, chociaż wcale niedobrodusznym w stosunkach... W 1863, przed wybuchem powstania wzięty i sądzony, na «posielenie» do Tomsku zesłany został. Tam znowu gospodarował, złota szukał i spekulował, aż w 1873 r... umarł... Żyjąc wśród osobistych, rodzinnych i polityczno-patriotycznych iluzji, doczekał się pocziwy kapitan (dziad Teodor) późnego wieku, który w biedzie pędził, i roku 1863 widział skutki przekonań, które wyznawał. Na wiosnę 1864 w Dubnie, pilnując tam sprawy syna Hilarego, skołatanego żywota dokonał. Co ciekawe, że konsystujący w Dubnie pułkownik, który go był poznał, jako dawnemu żołnierzowi polskiemu posłał na pogrzeb muzykę pułkową”...

Na innym miejscu (str. 361) srogi zawsze dla „czerwieńców” i radykałów Tadeusz Bobrowski tak opisuje ojca Josepha Conrada, Apolla Nałęcz Korzeniowskiego: „Z młodych ludzi z okolicy z jednym tylko zejść się i sympatyzować mogłem, mianowicie z Apollem Nałęcz Korzeniowskim (tak się bowiem dość pretensjonalnie podpisywał zawsze), później szwagrem moim, odnowiwszy z nim dawną ze szkół żytomierskich znajomość... Kiedy ja wyjeżdżałem do Petersburga, on właśnie stamtąd był wrócił, nie ukończywszy uniwersytetu, a nawet z pewnością nie wiem, na jaki wydział uczęszczał. Miał na wsi ustaloną reputację bardzo brzydkiego i niezmiernie złośliwego. Rzeczywiście pięknym nie był, ba, nawet przystojnym, ale miał bardzo miły wyraz oczu a złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach, ani w czynach nigdy jej nie dostrzegłem. W uczuciach gwałtowny, wylany i szczerze kochający ludzi, w czynach niepraktyczny, a często niezaradny nawet. W mowie i piśmie często nieubłagany, w życiu codziennym nieraz aż nadto pobłażliwym bywał, snać dla

równowagi, jak mu to nieraz dowodziłem, jak niemniej i to, że miał dwie wagi i miary dla maluczkich i głupiutkich i dla wielkich świata tego... Dla publicznej, że tak powiem, złośliwości swojej wybierał osobne ofiary wśród osób, które albo jego samego w czymkolwiek uraziły, albo które w ogóle rozdęte były majątkiem i pozycją — w czym najczęściej śmiech miał po swojej stronie. Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za «ultrasa» i za «czerwonego», było w nim sto razy więcej «żyłek szlacheckich», jak mu to nieraz dowodziłem, jak we mnie, którego ani on ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali. W rzeczy samej miał on bardzo czułe i miękkie serce, a stąd dużo współczucia dla biednych i uciśnionych, i dlatego zdawało mu się i innym, że jest demokratą. Tymczasem były to tylko porywy serca i myśli «dobrze urodzonego Nałęczza», ale nie przekonania iście demokratyczne...

Oczytany bardzo w lżejszej francuskiej i polskiej beletrystyce, sam wcale zdolny beletrysta, gruntownej, w jakiegokolwiek gałęzi, wiedzy nie posiadał; talent zaś poetycki miał wcale niezwykajny i do rzędu najudatniejszych naśladowców Krasieńskiego zaliczonym być może (*Siedm słów z krzyża* w rękopiśmie tylko znane, bardzo piękne), zaś jako tłumacz Wiktora Hugo i Heinego był niezrównany, tak znakomicie w styl i fakturę pierwszego, w gorycz drugiego wcielać się umiał. Język jego utworów i tłumaczeń znakomity. Oryginalne utwory jego dramatyczne *Komedia* i *Dla miłego grosza* (ostatnia nawet premiowana w Warszawie i współcześnie z Korzeniowskim Józefem) miały niemałe powodzenie wśród czytającej i myślącej publiczności, ale grzeszą, moim zdaniem, przesadą i fałszem w charakterystyce pewnych grup społecznych. Na scenie, i to żytomierskiej i kijowskiej, ostatnia miała powodzenie. W owej porze zalecał się mojej starszej siostrze, bardzo jeszcze

młodziutkiej...”

Z kolei następuje charakterystyka tej siostry, matki Josepha Conrada (t. II, str. 14): „Starsza siostra moja, pięknej powierzchowności, wielkoświatowego układu, wyższego nad pospolity ówczesnych kobiet naszych poziom wykształcenia, znakomitego polotu umysłu i serca, mniej łatwe miała usposobienia i potrzeby — a w owej porze więcej wymagała, by się nią zajmowano, niż sama dać innym mogła i chciała. Dość słabego zdrowia, a walcząca między miłością dla późniejszego męża i wiadomą jej wolą ojca, którego pamięć i zdania czciła, nie mogła zostawać w równowadze moralnej; niezadowolona z siebie, nie mogła dać innym tego, co jej samej brakowało. Dopiero połączywszy się z ukochanym przez siebie człowiekiem, rozwinęła w dalszym życiu niepospolite zasady umysłu i uczuć, rozumu i serca. Wśród najnieprzyjemniejszych kolei życia osobistego, w którym wszelkie niepowodzenia narodowego i społecznego objawiły się, umiała ona zawsze stanąć i najsilniej utrzymać się na stanowisku obowiązków żony, matki i obywatelki, zjednać sobie szacunek i cześć swoich i obcych, dzieląc wygnanie męża, i godnie reprezentować niewiastę polską”.

W lipcu 1855 r. wyszła za Apolla Korzeniowskiego. Z początku młodzi Korzeniowscy zamieszkali w Łuczyńcu, dokąd przeniosła się matka młodej mężatki, Teofila z Pilchowskich. W następnym roku Apollo Korzeniowski zamieszkał z żoną we wsi Derebczynka, dzierzawionej przezeń od Teodora Sobańskiego. Tutaj to przyszedł na świat Teodor Józef Konrad Korzeniowski dnia 6 grudnia 1857 r. W t. II na str. 440 Tadeusz Bobrowski opowiada dalsze losy tego stadła i małego ich synka: „Pierwszą ofiarą został mój szwagier Korzeniowski, który, zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam pozornie dla zajęć

literackich, ogłosiwszy nawet prenumeratę na pismo miesięczne «Słowo» w rodzaju «Revue des Deux Mondes», wybitne w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 roku, aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisję, której prezesem był pułkownik Rożnow”... Dalej następuje szczegółowy opis podróży młodych zesłańców — Apolla Korzeniowskiego, jego żony i małego synka Konrada, najprzód do Permu, a później do Wołogdy. Na przedostatniej stacji pod Moskwą dziecko rozchorowało się, a żandarmi odmówili możliwości zatrzymania „zsyłki”. W Niżnim Nowgorodzie pani Korzeniowska z sił tak opadła, iż ją z kibitki wynoszono na stację. „ Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, — pisze Tadeusz Bobrowski, — przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22-ą, a ich synek 23-ą osobą, składającą ówczesną kolonię polską w Wołogdzie”. Z tego czasu pobytu w Wołogdzie przechowały się listy Apolla Korzeniowskiego, pisane do krewnych w kraju. Część ich ogłosił „Tygodnik Ilustrowany”, inna część znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. Listy te należą do cennych skarbów literatury polskiej. Przedmiotem ich jest ów mały, sześciolatek chłopczyk, Konradek, wygnaniec w krainę zimy i skorbutu. Trwoga i troska o niego przewija się poprzez te zżółkłe, smutne karty...

W r. 1863 pozwolono Korzeniowskim przenieść się z Wołogdy do Czernihowa. „Siostrze mojej — pisze pamiętnikarz na str. 441 — która liczyła się tylko towarzyszącą mężowi, pozwolono dla «familijnych interesów» na parę miesięcy przyjechać do mnie. Zdrowie jej było już wtedy widocznie bardzo nadwężone i wymagało najprzód dłuższego wypoczynku, następnie troskliwej kuracji, lecz ani jednego, ani drugiego osiągnąć nie mogliśmy, bowiem po upływie owych paru miesięcy ówczesny nasz wielkorządca, generał-gubernator Bezak,

rozkazał, by jej dłużej pod żadnym pretekstem przebywać nie pozwolić, a gdyby się chorobą składała, polecił sprawnikowi skwirskiemu do lazaretu do Kijowa ją dostawić, czego unikając, sam sprawnik poufnie mnie ostrzegł, pragnąc się od owej ostateczności uwolnić. Wyjechać więc w pierwszych dniach jesieni 1863 musiała do Czernihowa, dokąd towarzyszyła jej matka.

Wuj mój Pilchowski Adolf, wysłany w jesieni 1861 roku w tzw. «porządku administracyjnym» (t. j. bez sądu, a tej kategorii rozkazano następnie wyprzedać majątki w ciągu lat trzech, które zostały sprzedane za bezcen), przeznaczony do Orenburga”... — ciągnie dalej spokojny *narrator possessionatus*. Nie możemy, niestety, za nim podążyć i, dla braku miejsca, przytoczyć wszystkiego, co pisze o najmłodszym z tej rodziny, bracie matki Josepha Conrada — Stefanie Bobrowskim, członku Rządu Narodowego, nieustraszonym działaczu, spiskowcu i emisariuszu, który zginął dnia 2 kwietnia 1862 r. w pojedynku z Grabowskim. Ten dwudziestodwuletni młodzieniec, jeden z geniuszów powstania, jedna z jego gwiazd przedwcześnie zagasłych, ginie w pół drogi, z ręki rodaka. „Zgon jego — pisze Bobrowski — utrzymywaliśmy w sekrecie przed matką, aż do jesieni 1863 r., która w przejeździe z Kijowa do Czernihowa zasłyszawszy na stacji rozmowę podróżnych, czy jest matką poległego w pojedynku, dowiedziała się o katastrofie!”. Kiedyś, w jesieni 1873 r. w Krakowie, przyniesie jej osoba nieznana zbroczoną koszulę, pęk włosów i list pożegnalny...

Matka Josepha Conrada zmarła w Czernihowie, ojcu pozwolono wyjechać zagranicę. Przeniósł się do Krakowa i tu zmarł w r. 1869. Mały Konradek pozostał sam pod opieką wuja Tadeusza, dla którego żywił zawsze najżywsze uczucia i któremu dedykował pierwszą swą powieść, *Almayer's Folly* [*Szaleństwo*

*Allmayera*]. Tak przynajmniej zdają się wskazywać litery dedykacji: „T. B.”

O swym pobycie w Krakowie, pierwszej szkole na ulicy Floriańskiej, chorobie, śmierci i pogrzebie ojca opowiedział już sam Joseph Conrad w szkicu pt. *Poland Revisited*, opowiedział w sposób cierpki i zimny. Przytoczyłem był w przekładzie urywki z tej opowieści w przedmowie do t. I zbiorowego wydania pism angielskiego autora. Stało, widać, znowu dookoła niego to koło zakłute rycerzy pobitych — ojciec, matka, wuj, dwaj bracia ojca i ten ostatni, junak, najmłodszy, Stefan Bobrowski. Dobrzy czy źli, cnotliwi czy ułomni, lecz aniołowie tej walki przepotężnej a przegranej, smutni, pełni boleści swych, na mieczach swych oparci. Oto to koło, ten łuk boleści, straszliwie, nad miarę strzymania, naciągnięty, wyrzucił go, zdaje się, niegdyś z ojczyzny.

W szkicu p. t. *First News*, pisanym w r. 1918, Joseph Conrad opowiada swym czytelnikom, iż bibliotekarz Biblioteki Jagiellońskiej (a więc znakomity nasz człowiek, jeden ze świetnych umysłów, zgasły przedwcześnie dr Józef Korzeniowski) powiedział mu za bytności w Krakowie w r. 1914, iż Biblioteka posiada spory zwitek listów Apolla Korzeniowskiego, w których jest wciąż mowa o nim, jako o małym Konradku. Były to listy pisane między r. 1860—1863 do pewnego bliskiego przyjaciela, w którego papierach się znalazły. Joseph Conrad wybrał się do Biblioteki w towarzystwie swego starszego syna, o którym mówi: „The attention of that young Englishman was mainly attracted by some relics of Copernicus in a glass case”. O sobie zaś mówi: „I saw the bundle of letters” ... Tak to, trzymając w ręku zwitek listów ojcowskich, ostatniego posłania tamtego koła, syna swojego mianował Anglikiem...

Dziś wszystko to już jest przeszłość i proch. Czcimy w

Josephie Conradzie wielkiego pisarza i znakomitego człowieka. Pragniemy, by lekka mu była ziemia, którą wybrał i gdzie spoczął po długim swym trudzie. Składamy na jego mogile kwiaty z pól naszych — już wolnych — wyrosłe z prochu męczenników i aniołów wolności, wierząc, iż najgodniej go czcimy.

## II

**J**uż kilka razy pisałem o Józefie Conradzie, zawsze na skutek żądania wydawców i redaktorów. Teraz czynię to z własnej woli, pobudzony przez czasopismo, które mam przed oczyma. Redakcja miesięcznika „La Nouvelle Revue Française” z dnia 1 grudnia 1924 roku wydała numer specjalny, składający się z prac piętnastu angielskich i francuskich pisarzy, całkowicie poświęcony naszemu wielkiemu rodakowi, pt. *Hommage à Joseph Conrad*. W tym hołdzie zbiorowym nie ma, oczywiście, głosu polskiego, aczkolwiek jeden z autorów — J. Kessel — zamieszcza artykuł pt. *Conrad slave*, cudeńki głosząc o bliskości sztuki Conrada do sztuki pisarskiej rosyjskiej. W innych głosach, opiniach, wspomnieniach i wersjach tyle jest materiału ciekawego, nieznanego, nowego, że prawdziwie zachodzi potrzeba dorzucenia nieco wieści i z polskiej również strony. W artykuliku André Gide'a znajdujemy wzmiankę, iż pierwszym

rzecznikiem uznania dla Conrada w wysokim świecie literackim Francji był nie kto inny, tylko Paul Claudel. Wielki poeta, a sam również wędrowiec po dalekich lądach i morzach globu, pierwszy odczuł i ocenił Conrada. Wzniosły twórca, który za pomocą kształtów subtelnej poezji mówił o Polsce, gdy o niej nikt nie mówił, gdy była sierotą, zapomnianą przez cały świat szeroki, pierwszy zrozumiał zagmatwaną, pełną symbolów i zagadek powieść polskiego eleara o morzach i lądach odległych. Gdy Claudela w czasie pewnego literackiego obiadu pytano, co należy czytać z owego Conrada, o którym tyle mówił, odrzekł: „Wszystko!”. Lecz przede wszystkim „La Nouvelle Revue Française” zasłużyła się, umieszczając na czele zeszytu artykuł Johna Galsworthy'ego, który w ciągu lat trzydziestu był współwędrowcem, współtowarzyszem, przyjacielem i kolegą Conrada na morzu i lądzie; który, jak sam wyznaje, posiada z górą dwieście jego listów, zawierających szczere wyznania i zwierzenia. Lecz nie przypomnienia i szczegóły niejako zewnętrzne, charakterystyka anegdotyczna stanowi główną wagę artykułu J. Galsworthy'ego. Znakomity ten pisarz angielski określa geniusz Conrada tak doskonałymi, ścisłymi i pewnymi rysami, odsłania jego duszę z precyzją i nieomylnością ręki iście anglosaską, iż własne nasze sądy o Conradzie ulegają odmianie. Zaczynamy wierzyć tym wyrokom, zgadzamy się na te sformułowania, gdyż przypomnienie nasuwa nam mnóstwo dowodów potwierdzających, które dotąd wymykały się naszej uwadze. Twierdzono powszechnie, iż morze było żywiołem głównym twórczości Conrada, a on sam był „romansopisarzem morza”. Możnaż było sądzić inaczej po przeczytaniu jego arcydzieła pt. *Zwierciadło morza?* Galsworthy stwierdza, iż ocean nie był wcale „bohaterem” Conrada, lecz był nim zawsze człowiek, walczący z tym żywiołem zdradzieckim i okrutnym.



Dość wspomnieć MacWhirra i tyle innych postaci, zmagających się z falami i wichrami. Sądzieliśmy wszyscy, iż Conrad jest epikiem przygód doznanych i przeżytych, iż rzeczy widziane i wchłonięte z zewnątrz dają mu asumpt do twórczości. Galsworthy stwierdza, iż Conrad wysnuł z nicości, stworzył w *Nostromo* nieznany kontynent na podstawie krótkotrwałego pobytu w pewnym porcie Ameryki Środkowej. Słyszeliśmy tyle razy, a czytaliśmy w tymże zeszycie, iż Conrad ulegał wpływowi tych i owych pisarzy, a nawet, że ma jakąś duchową styczność z pisarzami rosyjskimi, zwłaszcza z Dostojewskim. Galsworthy notuje, iż nazwisko „Dostojewskij” podniecało Conrada, jak czerwona chusta i przydaje, iż „Dostojewskij był zapewne, z istoty swej i treści wewnętrznej, zbyt rosyjskim dla smaku tego Polaka”. To samo zresztą notuje R. B. Cunninghame-Graham w artykule pt. *Invent portum*, przytaczając szczegół, iż gdy pewnego razu zapraszał Conrada na jakieś zebranie, otrzymał odeń odpowiedź ze wściekłym zaciśnięciem zębów: „Nie pójdę, bo tam będą Moskale”. Najciekawsze wszakże wyznanie znajdujemy na końcu artykułu Johna Galsworthy'ego. Wspomina on w tym miejscu ostatnie swoje spotkanie z Conradem, ostatnie odwiedziny i smutne przeczucie śmierci. Wreszcie pisze: „Sa femme me dit qu'une sorte de mal du pays s'était emparé de lui dans les derniers mois de sa vie, qu'il semblait parfois vouloir tout quitter pour retourner en Pologne”.

Angielski pisarz zżyma się na tę wiadomość, zaczerpniętą od żony Conrada — świadka niewątpliwego i wiernego — więc dodaje: „L'appel de la naissance à la mort, rien d'autre, sans doute, car il aimait l'Angleterre, pays de ses courses, de son travail, de sa longue et dernière escale”.

Bez wątpienia Conrad kochał Anglię i nieraz to w pismach swoich wyznawał publicznie, gdyż szlachetne miał serce, które

nie zapomina dobra doznanego. Lecz sam Galsworthy stwierdza, iż był to tylko marynarz i tylko artysta. Serce marynarza niczego nie zapomniało, co zawdzięczał Anglii. Lecz serce artysty mogło zapomnieć o Polsce? Ze szlachetnego, z dostojnego szedł rodu. Cudna, przezacna, przezzysta istota była jego matką. Nosiło go łono pełne zawistnej miłości, niezłomnego poświęcenia i trwogi, gdy wróg pod oknami czyhał i każdy krok śledził. Ręce nieulekłe tuliły go do piersi, gdy zesłańcza kibitka niosła się poprzez rozłogi nieprzemierzone, skrós lasów i głuchych pól, przez Moskwę, Nowgorod, aż do dalekiej Wołogdy. Oczy konające spoczywały na jego głowie, gdy je śmierć na wygnańczym posłaniu zamykała. Dokoła jego kołyski biły serca wiernych rycerzy Polski, wygnańców i zesłańców, stał wieniec krewnych, ludzi poświęconych sprawie, i wpatrywały się weń oczy arcyrycerza powstania sześćdziesiątego trzeciego roku, Stefana Bobrowskiego. Dziecięce jego posłanie osnuł arcydziełami świata ojciec-poeta, tłumacząc je wytrwale, ażeby nie oszaleć w mękach wygnania, gdy w kraju wrzała walka. O tych wpływach literackich na młodą wyobraźnię późniejszego pisarza nic nie wiedzą angielscy i francuscy pisarze, a i sam Conrad we *Wspomnieniach* niewiele o nich powiedział.

Nie mogą też zrozumieć, czemu to taką awersję do „Moskali” żywi ten pisarz. Coś on tam musiał zapamiętać ze swej pierwszej po kuli ziemskiej podróży. Coś musiał znienawidzić i czegoś zapragnąć. Zapragnął nade wszystko wolności, wyrwania się z kajdan, w które jego dziecięce rączki i nóżki były zakute. I oto teraz, po obejściu koła żywota, u szczytu sławy, stara polska ziemia z jej legendami niezrozumiałymi i obojętnymi dla świata, z legendami niezłomnymi, jak żelazo, upomniała się o swoje prawo do duszy. Tajemnicza, jak stwierdza dwoje przyjaciół, Angielka żona i wielki angielski pisarz, nieustępliwa *mal du pays*

dosięgła uchodźcę na obcej wyspie. „Wszystko porzucić i wrócić do Polski” — oto kres tej duszy po okrażeniu ziemi i po zdobyciu trudem własnych rąk wszechświatowej sławy.

Na początku zeszytu umieszczona jest nieznana fotografia Conrada z roku 1874, gdy, po ucieczce z kraju, „młody pies” otworzył na świat oczy w Marsylii. Szkoda, iż z tej odbitki nie można tutaj uprzytomnić twarzy tego konkwistadora świata, bujnowłosego awanturnika, o oczach marzyciela.

Nadzwyczajna nasza obojętność, gdy chodzi o rzeczy kultury, sprawiła, iż nie postaraliśmy się wcale o oświetlenie i uwydatnienie postaci duchowej Conrada ze strony polskości. Nie ma ani jego życiorysu, ani historii gniazda, z którego na świat wyleciał, ani miarodajnego studium o tej fenomenalnej twórczości. Tymczasem dla uwydatnienia w całej pełni tego literackiego zjawiska, tego niezwykłego fenomenu piśmiennictwa światowego, niezbędne jest polskie oświetlenie. Znaczna część utworów angielskich Conrada przedstawia się niezrozumiale, dziwacznie, zagadkowo. Zwracano już uwagę, iż *Lord Jim* jest to obraz procesu duchowego, fikcyjna historia jakowejś tajemniczej zdrady, opuszczenia obowiązku i dziejów ekspiacji. Niedawno wydana powieść pt. *Złota strzała* jest również utworem alegorycznym. Utwór *Nostromo* nie tylko jest poematem epicznym z dziejów jednej z republik amerykańskich, którego to świata Conrad wcale nie znał, lecz jakimś rozważaniem, rokowaniem, zgadywaniem i intuicyjnym tworzeniem pod postacią wymyślonej historii. Nade wszystko jednak utwór dramatyczny pt. *Jutro* zawiera w sobie treść przejrzyście alegoryczną. Nikt w Polsce nie podjął dotąd pracy nad zobrazowaniem tej ciekawej literackiej sprawy. Nasz urząd propagandy przy Ministerium Spraw Zagranicznych nosił się z myślą o wydaniu po angielsku dwu prac, pisanych przez

krytyków polskich, a nawet o urządzeniu w Warszawie poważnej, jak to mówią, „Akademii” ku czci zgasłego pisarza. Byłoby rzeczą nadzwyczajnie pożądaną, ażeby takie dwie prace o Conradzie zostały napisane. Jedna, dająca jego rodowód, historię rodziców, postać ojca, historię młodości do czasu wyjścia z kraju. Druga — badawcza, przenikająca i oświetlająca całość jego literackiego dorobku. Ponieważ się do mnie w tej sprawie zgłaszano, wskazywałem na dwu pisarzy najbardziej powołanych, na Wilama Horzycę i na Stanisława Wyrzykowskiego. Lecz w Ministerium, jak szybko i gwałtownie powstała inicjatywa, tak też szybko wszystko zgasło. Nie jest to, co prawda, rzecz urzędników załatwiać takie „urzędowe kawałki”. To sprawa literatów. Być może, iż po założeniu i ugruntowaniu w Warszawie P. E. N. Klubu, na którego czele stoi w Anglii właśnie John Galsworthy, wielki a wierny przyjaciel Conrada, zdołamy, jako pierwszą pracę porozumiewawczą, dać Anglii nasze, polskie widzenie Conrada, sprawiedliwe, bezstronne, przenikliwe, a uwydatniające niejasne dla zachodu kryjówki jego duszy. Bo my tylko jesteśmy w stanie zrozumieć go zupełnie, odczuć, co mówi jawnie i co ukrywa, co tai i co symbolami zasłania. My jedni, bo jest on także pisarzem polskim, aczkolwiek tworzył w języku angielskim. Że tak jest, dowodzi choćby list, który odeń otrzymałem po napisaniu przedmowy do zbiorowego wydania jego pism po polsku. Dziękuje on tam, iż odczułem „rodaka w autorze”. Nie chciałem dawniej listu tego ogłaszać, gdyż zawiera krepujące komplementy, jakich się w takich razach zażywa. Lecz dziś, gdy Jean-Aubry nosi się z myślą wydania całej korespondencji Conrada, dziś, gdy wiemy, iż ten nasz „rodak” przy końcu swej drogi życiowej był samotny, samotny tak dalece, iż chciał wszystko porzucić i wrócić do Polski, należy przytwierdzić, iż dawniej i zawsze te same żywił

dla ojczyzny uczucia.

Nie mamy — broń Boże! — zamiaru wydzierania „autora” Anglikom i anektowania go na naszą literacką własność. Lecz jest to nasz obowiązek, ażeby przyswoić sobie jego dzieła w doskonałych przekładach, sprowadzić jego ducha do kraju, skoro ten duch do kraju zateśknił. W równej mierze jest to pisarz angielski, jak polski. Teatry nasze, uskarżające się ciągle na brak sztuk interesujących, winnyby co prędzej wystawić utwór *Jutro*, ażebyśmy mogli zrozumieć jego ideę. Któż wie, może ją łatwo zrozumiemy... Wydawcy, którzy podjęli publikację dzieł Conrada, winni ją szybko kontynuować, gdyż nie tylko się opłaca, lecz daje możność puszczania powtórnych wydań. Krytycy nasi winni zabrać się do studiów nad Conradem, duchem oryginalnym, odmiennym, nowym, zuchwałym wśród naszych wieszczów i pisarzy. Z tej twórczości, która jest tak bezmiernie bliska i tak bezmiernie daleka, w dobie odrodzenia i rozwoju państwa, w chwili zetknięcia się z falami morza, wionie na naszą literaturę ogromne powietrze, atmosfera kuli ziemskiej. Śmiały, twardy, niepodległy, indywidualny człowiek — ustał. Musiał się zwrócić w naszą stronę, bo Polska tak jest w uczucie bogata, iż się z jej objąć nikt, kto szlachetny, nie wyrwie.

Stefan Żeromski  
*Joseph Conrad – autor rodak*

Redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-294-4, Festina 2014

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)